

KATARZYNA JANUS



SACRUM
et
PROFANUM

FILIA

KATARZYNA JANUS

SACRUM
et
PROFANUM

FILIA

Czy przeciwieństwa mogą się przyciągać?

Jak plus z minusem, jak przeciwne bieguny magnesu? Jak czerń z bielą, dobro ze złem? Czy też raczej odpychać jak... jak co? Prawda i kłamstwo, miłość i nienawiść... sacrum i profanum...? Albo odwrotnie? Czy to ma jakiś sens? Czy jednak na równi się odpychają i przyciągają, a wszystko zależy tylko od okoliczności...?

SACRUM – mit świętości, czyste uduchowanie, sfera rządzona przez nadprzyrodzoną, tajemniczą siłę, wzbudzającą jednocześnie fascynację i strach. Z drugiej strony PROFANUM – obszar codzienności, wszystkiego, co ludzkie, często brudne, cuchnące i bolesne.

Każde SACRUM posiada jednocześnie swój pierwiastek przeciwstawny występujący w przyrodzie, swoje

*PROFANUM. Komizm i tragizm, fantastyka i realizm,
piękno i brzydota...*

Jak je obie pogodzić?

– Chciała pani ze mną porozmawiać? Jestem Anastazja.

Do stolika w przytulnej kawiarence na warszawskim Starym Mieście podeszła młoda kobieta, która zupełnie nie wyglądała jak ta na zdjęciu z ogłoszenia internetowego. Była drobna, smukła, średniego wzrostu, ale od razu rzuciły się w oczy jej zgrabne, długie nogi, odziane w wąskie džinsy rurki. Kasztanowe, długie włosy spięła prostą, skórzaną klamrą, jej twarz zdobił delikatny makijaż. Na ramiona zarzuciła granatowe, wełniane ponczo, spod którego wystawał kołnierzyk białej bluzki. Jej piersi zdobił zawieszony na skórzanym rzemieniu srebrny wisior w kształcie połówki jabłka, przez ramię przewiesiła sporych rozmiarów popielatą, skórzaną torbę. Na nogach nosiła granatowe mokasyny z miękkiej skóry. Ubrana była na sportowo, ale na tle osób znajdujących się w kawiarni wyróżniała się klasą i dyskretną elegancją.

I była bardzo ładna, to nie budziło wątpliwości.

Dziennikarka, trzymająca do tej pory w ręce czerwoną różę, wstała z krzesła i wyciągnęła dłoń na przywitanie.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać – powiedziała, miło się uśmiechając, jakby bała się spłoszyć swojego gościa. Nigdy nie domyśliłaby się, że ma do czynienia z ekskluzywną prostytutką. *Call-girl*, jak wołała się nazywać jej rozmówczyni. Skojarzyła się jej raczej z wychowawczynią z pierwszej klasy szkoły podstawowej – sportowy ubiór, dyskretny makijaż, zero perwersji czy wulgarności.

Obie zajęły miejsca przy stoliku.

– Czego się pani napije? Może ma pani ochotę na jakiś deser? – zapytała dziennikarka.

– Poproszę o cappuccino. – Po chwili dodała: – Może jeszcze mały sernik z brzoskwinią. Mój ulubiony. – Zrobiła minę zawstydzonej małej dziewczynki, która właśnie popełniała drobny grzeszek.

Redaktorka uśmiechnęła się, dając sygnał kelnerowi. Po chwili obie pochylały się nad parującymi filiżankami z aromatyczną kawą, przegryzając raz po raz smakowitymi kawałkami ciasta.

– Nie wygląda pani jak na zdjęciu w anonsie.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Bo cenię sobie prywatność. Na zdjęciu jestem tak ucharakteryzowana, żeby nikt mnie nie rozpoznał w realu. W pracy wyglądam zupełnie inaczej, bo jestem inną osobą. Prywatnie wyglądam po prostu zwyczajnie.

– Co sprawiło, że zgodziła się pani na rozmowę ze mną?

– Zaciekawiła mnie pani. Tym, że pisze pani książkę o nas, dziewczynach do towarzystwa, jak lubimy się nazywać. Jesteśmy jak współczesne gejsze. Nie lubimy, kiedy mówi się o nas „ prostytutki”. To takie trywialne i obraźliwe. Ale cóż; jak zwał, tak zwał. W końcu profesja stara jak świat. Ile z nas wyraziło zgodę na rozmowę z panią?

– Jest pani trzecia.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Co chciałyby pani wiedzieć?

– Wszystko. Od samego początku. Od pani dzieciństwa, pierwszego razu, o pani refleksjach, zarobkach, lękach... Wszystko...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Od zawsze czuła w sobie moc. Moc sprawiania mężczyznom rozkoszy. Nawet kiedy jeszcze nie wiedziała, co to rozkosz, czuła tę moc w sobie.

Wychowała się w purytańskiej katolickiej rodzinie. Co tydzień, wyszykowani „jak do kościoła”, jak jeden mąż stawiali się na mszy świętej. I żadne z jej czworga rodzeństwa nie zastanawiało się, czy może być inaczej. To był dogmat.

Znacznie później, kiedy chłopcy z gimnazjum zaczęli zwracać na nią uwagę, zdecydowanie wolałaby w niedzielę, zamiast na mszę, pójść na spacer z przystojnym kolegą, potrzymać go za rękę, przytulić się do niego. Nie myślała jeszcze wówczas o innych sprawach damsko-męskich, była niewinna niczym lilia, ale

wyjścia do kościoła zdecydowanie zaczęły ją nudzić. Lecz wtedy jeszcze nie śmiała się zbuntować. Wtedy jeszcze nie...

Z zaciekawieniem przyglądała się, jak jej ciało się zmienia. Z tyczkowatej, chuderławej dziewczynki z nieproporcjonalnie długimi nogami, płaskiej jak deska, powoli stawała się motylem. I to takim z tych najpiękniejszych, najbarwniejszych. Zdawała sobie z tego sprawę. Ukradkiem obserwowała zachowania kolegów ze szkoły, kiedy wodzili za nią wzrokiem, niby to obojętnie, ale wiedziała, że w myślach ślinią się na jej widok.

Oprócz tego, że stawała się piękną dziewczyną, nie była przy tym głupia. Rozumiała, że sama uroda dziewczynie nie wystarczy, jeżeli chce coś w życiu osiągnąć. Uczyła się więc pilnie, długo w nocy ślęczała nad podręcznikami, kiedy jej rodzeństwo chrapało już sobie smacznie. Im wszystkim było obojętne, co będą robić w życiu, liczyło się tylko to, żeby odwalić swoje, przejść z klasy do klasy i aby rodzice zostawili ich w spokoju. A rodzice nie mieli wielkich ambicji wobec niej i reszty dzieci. Chcieli, żeby każde z nich miało w życiu fach, dzięki któremu będą mogły przeżyć od pierwszego do pierwszego, a jeśli jeszcze udałoby się im coś odłożyć na czarną godzinę, to byłby dla nich sukces. No i żeby żyli uczciwie.

Jej jednak takie ambicje nie wystarczały. Ona chciała więcej... Chciała mieć wszystko. I zamierzała konsekwentnie do wybranego celu dążyć.

Początkowo myślała, że dobre studia do tego wystarczą. Skończyła więc liceum z trzecią lokatą. Dojeżdżała codziennie z ich niewielkiej miejscowości do najlepszego ogólniaka w Toruniu, do którego zresztą dostała się bez problemów, ale w którym od pierwszych dni musiała solidnie przysiąść fałdów, aby sobie poradzić. Czterdzieści minut w jedną stronę, czyli codziennie traciła prawie półtorej godziny na samą podróż. Na szczęście bilety nic jej nie kosztowały, jako dziecko pracownika kolei miała je w gratisie. Wykorzystywała tę podróż pociągiem oczywiście na naukę, nigdy nie plotkowała z koleżankami, jak to jej rówieśniczki miały w zwyczaju. Nie chodziła także na imprezy, zawsze problemem był powrót do domu – ostatni pociąg odjeżdżał o dwudziestej drugiej, a wtedy tak na dobre dopiero zaczynała się huczna zabawa. Nie nocowała także u koleżanek, bo tak naprawdę nigdy ich nie miała. Zawsze była takim urodziwym odludkiem. Prędzej dogadywała się z chłopakami niż z jej wiecznie plotkującymi rówieśniczkami. Zdobywanie dobrych ocen nie sprawiało jej większych trudności. Miała już wprawę w uczeniu się, uparcie podążała ku wyznaczonemu sobie celowi.

A tym celem był dobrobyt i wygodne życie. Dlatego poszła na psychologię. Może powinna iść na jakiś marketing, bankowość, zarządzanie? Może na medycynę? Jednak w wyborze zawodu nie chciała kierować się jedynie wyrachowaniem, chciała także lubić swoją pracę, a że od zawsze interesowały ją ludzkie losy i charaktery, dokonała właśnie takiego wyboru. Nie spodziewała się wówczas, jak bardzo jej się to przyda.

Jej rodzina nie była zamożna, ale też nigdy nie klepała biedy. Po prostu nauczyli się radzić sobie z tym, co mieli. Mieszkali w małym miasteczku, albo inaczej mówiąc, dużej wsi w okolicach Torunia, w małym domku będącym typowym wiejskim domem z prawie stuletnią historią. Ojciec był kolejjarzem, mama nigdy nie pracowała, zajęta wychowywaniem piątki potomstwa. Mieszkała z nimi jeszcze babcia Rozalia – staruszczyca, mama jej mamy. Obie kobiety, nauczone od zawsze gospodarności, potrafiły wykarmić całą ósmioosobową rodzinę przez cały miesiąc z jednej kolejarskiej pensji. Mama sama piekła chleb w chlebowym piecu opalanym drewnem. Od kiedy pamięta, zawsze hodowali kury, kaczki, króliki. Bywały czasy, że nawet trzymali świnie w komórce albo kozę w ogródku. Jednego lata chowali także cztery owce, nawet mieli zamiar zająć się tym na większą skalę, ale owieczki dopadła jakaś zaraza

i wszystkie padły jednej nocy. Po tym zdarzeniu nie zaryzykowali więcej.

Za domem był warzywniak, o który wszyscy z rodu musieli dbać, to było ich zadanie przez całe lato, mama tylko rozdzielała obowiązki. Tak więc na jedzenie nie wydawali wiele, wszyscy byli nauczeni gospodarności. Rachunki też nie były zbyt wysokie, wodę i prąd się oszczędzało, zimą dom ogrzewali drewnem, i to tym, które cała rodzina zdołała latem nagromadzić, zwożąc je z okolicznych lasów. A o dwudziestej drugiej zazwyczaj wszyscy już spali, światła były pogaszone, toteż prądu także nie zużywali wiele. W domu zawsze było skromnie, ale czysto. Co sobotę mama zarządzała sprzątanie i nikt nie śmiał się jej sprzeciwić ani z tego rytuału wyłamać. Było trzepanie chodników, szorowanie podłóg i kuchennego pieca, co którąś sobotę dochodziło do tego mycie okien i różne inne czynności, w zależności od tego, co matula wymyśliła. Innymi słowy, w domu panował matriarchat.

Ojciec co miesiąc oddawał mamie całą pensję, wtedy ona wydzielała mu trochę grosza na jego własne potrzeby, a resztę skrzętnie chowała do puszki po herbatnikach, stojącej na najwyższej półce w kuchni. Agata zawsze dziwiła się, że tato tak dobrowolnie oddawał mamie wszystko, co zarobił. Ale z drugiej

strony, gdyby było inaczej, gdyby przepijał większość zarobionych pieniędzy, jak to się działo w niejednym domu dzieciaków ze szkoły, chyba przyszłoby im przymierać głodem.

Tak... miała na imię Agata.

Jednak w swoim późniejszym życiu stała się Anastazją. Zafascynowała ją dawno temu historia jednej z córek ostatniego cara Rosji, która rzekomo jako jedyna uratowała się z okrutnej rzezi zgotowanej carskiej rodzinie. Była to prawdopodobnie historia nieprawdziwa, ale legenda krążyła i rozbudzała Agaty wyobraźnię. Kiedy jako nastolatka, zmęczona nauką, w końcu późną nocą kładła się do łóżka, żeby pozwolić odpocząć swojemu umysłowi od całek i różniczek, rozmyślała o różnych ciekawych historiach. Często puszczała wodze fantazji, marząc sobie, że jest tą właśnie carówną Anastazją, która błąka się po arystokratycznych domach Europy, nie do końca mogąc sobie przypomnieć, kim tak właściwie jest. Oczywiście wyobrażała sobie, że swoją osobą wzbudza nadzwyczajne zainteresowanie u płci przeciwnej. I rzecz jasna, oczami wyobraźni widziała te wytworne bale, w których bierze udział, stroje, które nosi, misterne fryzury zdobiące jej głowę...

Zasypiała, wzdychając cicho do tego nierzeczywistego świata. I śniła o innym życiu, książętach z bajki...

Studiowała psychologię w Gdańsku. Wybrała to miasto, aby było daleko od domu, a poza tym Trójmiasto zawsze ją fascynowało. Raz tylko była na wakacjach nad morzem. Kiedy miała dwanaście lat, Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej zorganizował wakacje dla dzieci z biednych rodzin. Pojechała tam razem z siostrą i pomimo że nad morzem była oczarowana, postanowiła już wtedy, że taki wyjazd był pierwszym i ostatnim w jej życiu. Na koloniach były dzieci z MOPS-u, takie, które pojechały tam za darmo, ale były też dzieciaki z zamożnych rodzin. Ona była tą „biedną”, najbiedniej ubraną, niemogącą się pochwalić modną komórką, czy empetrójką, nosiła zniszczone ciuchy po starszej siostrze. Nie znalazła się w żadnej grupce, na które podzieliło się kolonijne towarzystwo. Była ciągle sama. Co z tego, że stale otaczał ją wianuszek chłopców, nie na takim towarzystwie jej wtedy zależało. A dziewczyny poczuły do niej wówczas jeszcze większą niechęć. I wtedy powiedziała sobie, że jeżeli kiedykolwiek pojedzie dokądś z jakąś grupą, nigdy nie pozwoli na to, żeby być tą gorszą.

W gdańskim akademiku mieszkała w ciasnym pokoju razem z koleżanką z grupy, Anką. Nie przyjaźniły się początkowo, ona nigdy wcześniej nie miała prawdziwej przyjaciółki, ale od razu stały się dobrymi koleżankami. Przyjaźń nadeszła dopiero później. Nie zwierzały

się sobie wieczorami ze swoich intymnych spraw, ale i tak wiedziały o sobie wiele. Anka może nawet i byłaby skłonna do „psiapsiółskich” pogaduch, ale Agata stwarzała pierwotnie między nimi pewien dystans. Anka rychło wyczuła, o co koleżance chodzi, w końcu obie studiowały psychologię, i nie przekraczała cicho ustalonej granicy.

Agata była jeszcze wtedy nieśmiałą dziewczyną, chociaż coraz bardziej zaczynała być świadoma swojej urody i pożądanego, jakie jej wygląd wzbudzał u płci przeciwnej. Nie była już wówczas dziewicą, ale nie miała żadnego chłopaka na stałe. Owszem, spotykała się raz po raz z jakimś kolegą, lub kolegą kolegi, dawała się zapraszać do kina czy na dyskotekę, ale zazwyczaj nie wiązało się to z niczym innym. Żaden chłopak nie zainteresował jej tak naprawdę, dla żadnego jej serce nie zaczynało bić szybciej. A dziewicą przestała być, bo jej zdaniem był na to najwyższy czas. Oddała się więc jednemu ze studentów politechniki, z którym to spotkała się po raz trzeci. Trzeci i ostatni. Chłopak był wniebowzięty, a ona nie czuła nic. Ot, zaliczyła kolejne życiowe doświadczenie. Już nawet zaczęła się zastanawiać, czy może bardziej zainteresowałyby ją dziewczyny, ale po głębszej analizie doszła do wniosku, że jednak nie. Zdecydowanie nie!

Jej sytuacja materialna w tym czasie była raczej kiepska. Wszystko, co mogła dostać od rodziców, to dwieście złotych na miesiąc. Za akademik płaciła trzysta dwadzieścia pięć złotych miesięcznie, a gdzie reszta? Wprawdzie do tego dochodziło jeszcze stypendium socjalne – pięćset złotych – i rektorskie – za dobre wyniki w nauce – trzysta złotych. Miała zatem tysiąc złotych co miesiąc. Nie paliła papierosów, nie piła alkoholu, mogła za te pieniądze wyżyć od pierwszego do pierwszego, ale musiała się za coś ubrać, kupić podręczniki, mieć na bilet tramwajowy, kosmetyki, których przecież każda kobieta potrzebuje, obojętnie w jakim byłaby wieku.

Dorabiała zatem jako kelnerka. Wcześniej miała się różnych innych zajęć: pilnowała obcych dzieci, myła okna, sprzątała, aż w końcu na dobre zaczęła parać się kelnerowaniem. Początkowo krótko pracowała w McDonaldzie, potem w pizzerii na sąsiednim osiedlu, aż w końcu znajomy polecił ją do restauracji Appassionata na gdańskiej starówce. Kiedy po raz pierwszy przekroczyła jej próg, onieśmieliły ją przepych i elegancja, jakie tam panowały. Przygotowywano właśnie główną salę do wesela, które miało się odbyć za dwa dni. Stała z rozdziawioną buzią, podziwiając śnieżną biel obrusów, złożenia zastawy stołowej, światło odbite od kryształków żyrandoli i świeczników, panujące wokoło bogactwo.

– Pani w jakiej sprawie? – usłyszała za plecami stanowczy kobiecy głos.

– Ja w sprawie pracy – odpowiedziała nieśmiało. – Nazywam się Agata Dobrowolska.

– Ach, to pani – ponownie odezwała się do niej kobieta. – Przyszła pani za wcześnie.

Obok niej stała wysoka, elegancka babka, z długimi blond włosami spiętymi na karku szykowną srebrną klamrą. Była ubrana w czarne spodnie cygaretki, kremową jedwabną bluzkę z apaszką fantazyjnie wywiązaną pod szyją, którą dodatkowo ozdobił cieniusieńki złoty łańcuszek z delikatnym serduszkim. Stopy miała obute w czarne czółenka na wysokiej szpilce. Te szpilki od razu przykuły Agaty uwagę, ona chyba by się w takich zabiła, jednak były piękne. Bez wątplenia piękne. Zresztą cała kobieta była piękna. Czyściutka, elegancka i pachnąca, taka nieskazitelna. I onieśmiałą Agatę jak chyba nikt dotąd.

– Przepraszam – odpowiedziała cicho. – Nie chciałam się spóźnić.

– Dobrze, już dobrze – usłyszała natychmiast poirytowany głos. – Proszę za mną!

I nie oglądając się za siebie, osoba, która nawet nie raczyła się jej przedstawić, ruszyła w głąb sali, a następnie wydawałoby się niekończącym się korytarzem

do pomieszczenia, na którego drzwiach widniał napis „Anna Ostoja – manager”.

Gabinet urządzony był elegancko, ale jednocześnie po spartańsku, czyli w stylu minimalistycznym – proste, nowoczesne biurko z obrotowym krzesłem przeznaczonym dla właścicielki i futurystycznym fotelem po drugiej jego stronie. Pod oknem stała wygodna kanapa, po przeciwległej stronie białe półki pokrywające całą ścianę, a na nich segregatory z dokumentami, trochę książek i eleganckich dekoracyjnych drobiazgów. Przez dłuższą chwilę Agata zatrzymała wzrok na niewielkiej rzeźbie nagiej kobiety, która siedziała, obejmując rękoma swoje kolana, a rozpuszczone włosy łagodnie spływały jej po plecach. Smutna twarz odwrócona na bok miała wzrok utkwiony gdzieś w dal, jakby spoglądała w swoje myśli. Emanowały z niej nostalgia i smutek. Przez chwilę odniosła wrażenie, że ta rzeźba przedstawia ją samą, zagubioną, niepewną siebie, biedną istotę.

– Gdzie pani przedtem pracowała? Ma pani jakieś referencje? – Ostry głos przywołał ją do rzeczywistości.

I kobieta zasypała ją gradem pytań. Agata miała wrażenie, że ta robi wszystko, aby złapać ją na jakimś potknięciu, żeby mieć argument i nie przyjąć jej do tej pracy. Pracy, której teraz tak bardzo potrzebowała. Na szczęście wytrzymała nerwowo, nie dała się zagiąć.

Za sprawą przypadku piękna studentka psychologii zaczyna parać się profesją starą jak świat – zostaje Anastazją, luksusową *call-girl*. Nie narzeka na brak amatorów seksu za pieniądze, ale to z pierwszym klientem – Janem, bogatym biznesmenem po pięćdziesiątce, połączy ją coś więcej. Gdy ciężko chory mężczyzna proponuje Anastazji układ i wyjazd do Normandii, gdzie ma przejść eksperymentalną terapię, dziewczyna zgadza się i tak rozpoczyna się najpiękniejsza przygoda w jej życiu. Cudowny czas spędzony wśród malowniczych francuskich miasteczek i urokliwych klifów nie pozwala jej jednak zapomnieć o innym mężczyźnie – wyjątkowo urodziwym i bardzo nieśmiałym kliencie, dla którego stała się tą pierwszą kobietą. Kim okaże się tajemniczy Maurycy? Jak potoczą się losy Jana i Anastazji?

FILIA

cena 49,90 zł

Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8357-669-5



9 788383 576695